

**Antoni Matuszkiewicz**

**EFEKT DOPPLERA**

**(Opowieść z końca ubiegłego wieku)**

**OSOBY :**

Olek

Babka

Ojciec

Pan Waldek

Kamińska I

Kamińska II (jej teściowa)

Dziadek

Dziadek Kowalski

# I

Babka (do telefonu): Niech Pan Bóg zabroni! Ani mi się waż! (odkłada słuchawkę)

Olek (otwierając drzwi swego pokoju): Czego się znów drzesz? Będzie wreszcie kiedyś spokój w tym domu czy nie? (zatrząskuje drzwi)

Babka: Szczekaj, szczekaj – jak ci babki zabraknie, to cienko zaśpiewasz!

(słysząc odgłos otwieranych drzwi wejściowych)

Babka: A ty co znowu łazisz po nocy! Jak za najlepszych małżeńskich czasów! Mało to się teraz słyszy różnych rzeczy? Trzy na dziesiątą! Dla starej matki już byś to zrobił jak nie dla siebie. (słysząc jak zdejmuje z wieszaka i wkłada fartuch) Już tak cię proszę i nie mogę się doprosić, żebyś się ostro za małego wziął – rozpuszczony jak dziadowski bicz!

Ojciec: Było coś z poczty?

Babka: Jest kulesza, kartofle, ale najpierw zupa, jarzynowa, udała mi się jak rzadko...

Ojciec: Nie chcę zupy. Było...

Babka: Już ci grzeję, trzeba, żebyś ciepłego zjadł.

Ojciec: Wezmę sobie kaszy i kwaśnego mleka...

Babka: To z górnej półki, z lewej strony, bo nowe już nastawiłam, jeszcze się nie zsiadło.

Ojciec: Wiem jak wygląda kwaśne mleko!

(dzwoni telefon)

Babka: Tak, tak, dawno skończone! (kładzie słuchawkę) Za co te mały pieniądze biorą!

Ojciec: Ktoś dzwonił? Przecież to już automatyczne...

Babka (przerywając): Nikt nie dzwonił!

(słysząc jak ze swojego pokoju wychodzi Olek i maszeruje do łazienki, po chwili wraca)

Ojciec: Coś nowego?

Olek (nie zatrzymując się): Uhm... Równno z góry.

Babka: A nie mówiłam? Takie to wychowanie. Rośnij, rośnij boże drzewko. Matki mu potrzeba, tylko nie tej jego matki – prawdziwej matki mu trzeba! A jeszcze jakbyś ty nie był jego ojcem, może wyszedłby chłopak na ludzi...

Olek (otwierając drzwi swego pokoju): Tylko ciekawe, jakbyś wtedy została babką, co?

Babka: Jak Pan Bóg dopuści, to z kija wypuści – i nic człowiekowi do tego!

Olek: A, to dlatego nie mam dziadka? Ale sprawa... Kawał hita z satelita.

Babka: Niby nie wiesz, że go zamordowali?

Olek: A tak, tak, oczywiście – jak drugi raz sowieci przyszli do Lwowa. Tylko coś mi się zdaje, że my i dziadek nie jesteśmy z tego samego filmu.

Babka: Bezczelne bachorzysko! (zwracając się do Ojca) Coś byś mu wreszcie powiedział! Nie tylko patrzył się w talerz.

Olek: To dlaczego mszy nigdy za niego nie było?

Babka: Raptem rzymski katolik się znalazł! Patrzcie go, już będzie z ruski miesiąc, jak cię kto widział w kościele!

Olek: Jutro z samego rana pójde i mszę świętą zamówię.

Babka: Ile zdrowia co dzień zniszczy mi ten diabeł! Dzisiaj od świtu tak mi tutaj w głowie strzyka, jakby kto tam jakiś świder obracał...

Olek: Albo dzwonił...

Babka: Święta idą, trzeba, żebyś mi pomógł, zrobił coś dla domu. Wnet wigilia za pasem, tylko patrzeć, a on nawet jak się weźmie do czegoś, to tylko rozparze, rozparze – i tak zostawi.

Olek: Kto powiedział, że ja chcę jakiejś wigilii? Nie ma. Nie ma. Czysty brak. Po prostu.

Babka: To taka polska tradycja...

Olek: Dwadzieścia, trzydzieści lat – i będzie po tych waszych wigiliach. Nikt tego nie będzie ćwiczył. I co to w ogóle jest – ta wasza Polska?

Babka: Takie piękne święta, wszyscy są razem, pamiętasz, jak byłeś mały i śpiewaliśmy kolędy? Co ty wygadujesz, Oluś, bój się Boga!

Olek: Nigdy nie byliśmy razem. Matka wyszła z domu i dotychczas nie powróciła, dziadka po prostu nie było. Konspiracja, emigracja – wielka, mniejsza, najmniejsza.

Babka: Będziemy przecież łamać się opłatkiem...

Olek: Mało nałamaliście się w życiu? Łamcie się beze mnie. Jasne? Stół z powyłamywanymi nogami, stół z powyłamywanymi nogami, stół... (słysząc, jak odchodzi do swego pokoju)

Babka: Oj, przydałaby mu się dziewczucha! Tylko nie taka jak tobie. (Ojciec wstaje od stołu, przesuwając talerze) Zostaw, zostaw to, sama poskładam. Idź spać...

Ojciec (wychodząc): Dobranoc...

Babka (krząca się chwilę, zbiera talerze, jest zdenerwowana i jeden talerz spada, tłucze się, słysząc, jak zbiera skorupy): Jeszcze tylko mi jeden taki został... Jakby, jakby tak wszystkich pozbierać... Jedna wojna, druga wojna... Tyle czasu... Tyle... (rzuciła odłamki do kosza, ciężko siada i milczy chwilę) I co to teraz wszystko znaczy...? (głośny terkoczący dźwięk staroświeckiego ręcznie przekręcanego dzwonka w drzwiach, potem jakby zbyt wyraźny, zbyt głośny szcęk otwieranego zamka, uchylanych drzwi, entuzjastyczny, wyraźnie młodszy głos Babki) Władek! Władek! Jesteś! Nareszcie, Boże, Boże... Wróciłeś, mój ty sybiraku! Wiedziałam... zawsze... (radosny szloch, później moment ciszy) Kto... Kto tam... Kto to jest? Władek?

Dziadek (głos również młody): Moja... Moja żona... Chciałem tylko... Żeby pomóc... (słowa: „żona” i „chciałem” powtarzają się jeszcze w różnym natężeniu, w różnej intonacji, jakby zaciął się jakiś mechanizm, również parę razy powtarza się łoskot gwałtownie zatraskiwanych wielkich drzwi, po chwili słysząc ten sam co wcześniej dźwięk telefonu)

Babka (ostro): Nie! (kładzie słuchawkę)

Ojciec (uchylając drzwi): Znowu ktoś...

Babka (przerywając): Nie! To była pomyłka!

## II

(słysząc dochodzące zza otwartego okna odgłosy zanikającego deszczu i gwaru ulicznego, te ostatnie towarzyszą z różnym nasileniem całej tej scenie)

Babka: Co się tak gapisz przez to okno? Nie ma nic gorszego, jak się tak z ciepłego wystawiać! Co tam znowu widzisz?

Olek: Czterdzieści i cztery!

Babka: Jakie czterdzieści i cztery?

Olek: Takie!

Babka: Już ci żal nawet gęby do starej kobiety otworzyć? (przez chwilę krząta się po pokoju) Od lat nie ma innej kobiety w tym domu, wszystko muszę swoimi rękami ogarnąć. Wczoraj spałam trzy godziny, dwa dni temu zbudziłam się nagle w środku nocy, z zimna, nogi jakby lodem obłożyl...

Olek: Gdzie dziadek?

Babka (zwlekając z odpowiedzią): A ty co znowu masz na nogach?

Olek: Nie widzisz? Buty. (po chwili) Buty kupiłem.

Babka: Jeszcze jedne?

Olek: Jeszcze. Bo co?

Babka: Czeka, czeka – będziesz ty jeszcze w życiu patrzył, gdzie chleb tańszy! Ależ to kajdany jakieś, nie buty! Jak ty w tym w ogóle będziesz chodził?

Olek: Swoimi drogami. Jak dziadek...

Babka: Umarłych zostaw w spokoju!

Olek (zeskakując z parapetu): Umarłych? NKWD? Doktor Chrobak miał się niby z nim spotkać u św. Antoniego? Tak? Tak? Wszystko prawda, tylko tym, co wtedy zniknął, był niejaki Wiszniewski, czyli „Grusza”!

Babka: Czy to on sam tylko? Ludzie wtedy znikali jak muchy, jeden za drugim... A ty to niby skąd raptem taki mądry jesteś?

Olek: Nie trzeba nowych butów, by pójść piętro wyżej, do kogoś z grupy Chrobaka...

Babka: U Kamińskiego byłeś? Co za licho cię tam zaniósło! Żeby taki śmierdziuch jak ty nie zostawił w spokoju człowieka stojącego nad grobem.

Olek: Raczej – leżącego. Zresztą grobu nie zauważyłem.

Babka: I jak, jak on się, biedak, teraz, po operacji, czuje?

Olek: Pewnie tak jak przedtem. Jak się ma czuć, kiedy ma raka?

Babka: Ale – chwała Bogu – nic o tym nie wie. To tylko go jakoś trzyma...

Olek: Nie wie? Jak wszyscy naokoło wiedzą?

Babka: Przecież mu nie powiedziałaś? Popatrz tu się zaraz na mnie!

Olek: Sam mi powiedział.

Babka: Co ci powiedział? Gadaj mi zaraz.

Olek: Coś tam o zdrowiu, a potem, że nie może za dużo mówić, bo przecież wiem, że choruje na raka. I że bym przyszedł za jakiś czas.

Babka: A ty co? Powiedziałeś, że to pewnie nieprawda, że tak mu się tylko wydaje?

Olek: Powiedziałem, że przyjdę.

Babka: Diabeł, nie dziecko!

Olek: A co to? Prawdy nie można powiedzieć, czy co? (po pauzie) Ten nasz dziadek to był zdaje się niezły numer. Na bohatera na pewno się nie nadaje. (ponieważ Babka nie reaguje, kontynuuje po chwili) Pił? No, pytam, czy pił? Jak wszyscy? Trochę więcej? Albo przypadkiem nie znalazł się po tej stronie, co trzeba? A może on całkiem nie nasz? Co? Ukrainiec? Żyd?

Babka: Do matki pisałeś?

Olek: A co cię to obchodzi?

Babka: Nie ma co – ładny synalek z ciebie. Jeszcze będzie mi się tu stawiał, jak fajka za grajcar! Napisałeś, czy nie? Zamiast się bezmyślnie gapić nie wiedzieć na co – szoruj do pisania! (słysząc jak Olek demonstracyjnie wolnym, akcentowanym krokiem odchodzi, jednocześnie wraca do domu Ojciec)

Ojciec (powoli, rozbierając się): Co tu tak głośno? Na ulicę słysząc...

Babka: A ty co, taki mokry jak chluszcz? Jemu w głowie już się ze szczętem przewracało – ale i tobie, widać, nic nie brakuje.

Ojciec: List musiałem wysłać...

Babka: Do Grecji? Tak? A pewnie, pewnie, wysyłaj! Włócz się po deszczu jak głupi. A ona tam w kułak z ciebie się śmieje! Już ma innego, może i niejednego. Też masz do kogo pisać!

Ojciec: Napisała – to odpisałem. I koniec.

Babka: I co takiego ciekawego napisała? Pogoda piękna, tak? Bardzo gorąco? (nie pozwala Ojcu dojść do głosu) Tylko sobie przypomnij, zaraz ci to powiedziałam, jak wtedy przyjechałeś i oznajmiłeś, że poznałeś jakąś dziewczuchę, żebyś się miał na bacności. Bo coś mi tak jakby powiedziało w środku, że się coś strasznego zdarzyło... I nie byłeś w jego wieku, ale już dobrze po trzydziestce, prawda? Taki mądry! I co? Co się okazało? Gospodynia od budynia, awantury od niedzieli do niedzieli, co?

Ojciec: Jestem zmęczony... (słysząc, jak ciężko siada na krześle) Buty mi jeszcze przemokły...

Babka: Pewnie. Jak się łązi po takiej wodzie, nie wiedzieć po co. Nie ma nic gorszego jak mokre nogi – czysta choroba!

### III

Ojciec: Zadanie napisane?

Olek: Mamy teraz zadania na telefon.

Ojciec (uderza pięścią w stół): Co masz zadane!



Olek: Nic.

Ojciec: A bliżej?!

Olek: Określić warunki, w jakich dwie nierówności opisane...

Ojciec: Z naszego.

Olek: Też nic. (po pauzie) Powrót argonautów.

Ojciec: Zrobiłeś już coś?

Olek: Nic.

Ojciec: Dobrze byłoby z Gravesa... (wstaje, jakby chciał przynieść książkę)

Olek: Się rozumie! Tylko, że on wie zawsze za dużo. Kupa drętwych zeznań. (po chwili) Prawie wszystkie prowadzą na Korkyrę...

Ojciec: Nareszcie się włamałeś do domowej biblioteki. Brawo!

Olek: Do publicznej.

Ojciec: Publicznej? Dlaczego? Masz w domu, czytaj w domu. Słyszysz!

Olek: Przecież namawiałeś mnie do chodzenia po bibliotekach.

Ojciec (zdenerwowany): Namawiałem, zachęcałem, a teraz – o taak – odwracam kota ogonem! Trzeba to trzeba, a nie to nie.

Olek: Na nią też tak krzyczałeś?

Ojciec (po chwili): Opowiadasz kolegom o matce? Nie? A to takie proste – tu pieniądze, tu większe pieniądze...

Olek: Nieprawda!

Ojciec: Właśnie, właśnie – prawda, nieprawda. I tak dalej, i tak dalej...

Olek: A jego szukałeś? Dlaczego nic nie mówisz?

Ojciec: Nie mówi się o wszystkim.

Olek: Można o wszystkim. Boisz się?

Ojciec: Jest, jak jest.

Olek: To twój ojciec. Są rzeczy, których nigdy nie można powiedzieć?

Ojciec: Nie zawsze.

Olek: Teraz nie?

Ojciec: Ludzie to ludzie. Odkrywanie może ranić.

Olek: Ciebie rani?

Ojciec: Czasem chce się, aby raniło, a nie rani... I to może dotkliwie poniżyć.

Olek: Ciebie poniżyć?

Ojciec: Szukając prawdy można się minąć z miłością...

Olek: Ty się minąłeś?

Ojciec: Jak pracowałem w muzeum, pamiętam, przyszedł człowiek mieszkający po wojnie w dworskiej oficynie. Jak wszyscy tam, grzebał pod tym dworem, grzebał, aż wygrzebał. Trochę zastawy i zbiór numizmatów. Nie wiem, ile ich było, co cenniejsze posprzedawał już wcześniej, zobaczyłem tylko kilkadziesiąt dużych hiszpańskich miedziaków, gdzieś z szesnastego, siedemnastego wieku. Ten człowiek, aby przekonać się, czy to przypadkiem nie złoto, każdą sztukę – tam u siebie, w komórce – kładł w imadło i przejeżdżał parę razy pilnikiem na krzyż. To była ta jego prawda. A srebrne sztuce połamał. Po prostu połamał w tej swojej głupocie, ponieważ tam, gdzie poradzono mu je zanieść, była wywieszka, że skupują złom srebrny i złoty...

Olek: On żyje?

Ojciec: Ten poszukiwacz skarbów?

Olek: Kurde! Pytam, czy o n żyje! Nie ściemniaj. (po chwili oczekiwania na odpowiedź) Jest gdzieś niedaleko?

Ojciec: Wiesz, ile to lat? Pamiętam, jak wciąż się mówiło: wojna, przed wojną, po wojnie. W domu wszyscy żyli – po wojnie. Dookoła, z roku na rok – po wojnie. Dziesięć lat, piętnaście lat – po wojnie. Pierwszy raz pojechałem do

Wrocławia... Gruzy i gruzy. Pół godziny pociąg jechał przez te ruiny. Pewnie było tam gdzieś jakieś życie, ale w dzieciństwie Wrocław to były zawsze dla mnie ruiny - no i mosty... A w każdym prawie domu, u nas, w sąsiedztwie, brakowało tych, co poznikali. Łatwo było się zgubić, spóźnić na transport – i twoja wieś, miasto, twój kraj odjechał.

Olek: Schweidnitz, Goerlitz, Liegnitz – wyjdą Szwaby z piwnic! Dlaczego opowiedziałeś mi bajeczkę o Wrocławiu? Po co cały ten gaz łzawiący? Fakty! Fakty! Spóźnił się? A może pojechał gdzie indziej? Kasa, większa kasa... Prosta historia.

Ojciec: Historia... (słysząc przekładanie papierów)

Olek: O, nowa koperta! Wprost od naszej helleńskiej macierzy! O czym pisze?

Ojciec: O niczym.

Olek: Ale o czym?

Ojciec: To cała historia.

Olek: Rany – o czym pisze!

Ojciec: Że bardzo nas tu kocha...

Olek: Nieśmieszne.

Ojciec: Że trafia się jej Grek – i chciałyby się rozwieść.

Olek: I co?

Ojciec: Właśnie nic.

Olek: Zupełnie?

Ojciec: Zupełnie.

Olek: Chcesz być z nią dalej?

Ojciec: Dowodzi, że nigdy nie byliśmy...

Olek: Więc się zgadzasz?

Ojciec: Nie.

Olek: Nie rozumiem.

Ojciec: Nie mogę.

Olek: Aha, rozumiem, ale nie rozumiem. Nie mówi się o wszystkim... (słysząc, że Ojciec wstaje, przesuwa krzesło) Znalazłeś go?!

Ojciec: Idź spać.

#### IV

(słysząc przyspieszony oddech, odgłosy różnych ćwiczeń gimnastykującego się Olka)

Babka: Diabła zobaczysz, jak się tak będziesz obracał!

Olek: Sprawdzałaś?

Babka: Pamiętasz, miałeś diabła, taki duży był, czarny, z rogami, miał ciemnoczerwoną kamizelkę czy surdut, sadzałeś go na tej pluszowej kanapie, co teraz stoi na strychu i gadałeś z nim godzinami.

Olek: Ciotka Mucha go spaliła!

Babka: Sam kazałeś spalić. Powiedziałeś, że diabeł jest zły, a ona wzięła go do pieca, jak ciebie nie było w domu. Na drugi dzień się rozmyśliłeś i zacząłeś wszędzie za nim szukać. Jaka była rozpacz!

Olek: Poniemieckie książki też spaliła, nikt ją o to nie prosił.

Babka: I tak już miały za swoje. Najpierw twój ojciec zaglądał do nich od małego, później ty – wszystko już zaczynało fruwać. Zresztą twoja matka, wielka pani, nie życzyła sobie bałaganu u siebie, wypchnęła tę całą furę na korytarz i ciotka zrobiła porządek. Ciągłe człowiek się tylko o to potykał... A tobie także jakieś książki były wtedy w głowie, Kaśka była ważna, ta od Piechocińskich! (przez chwilę słysząc tylko odgłosy ćwiczeń) Całe to twoje mordowanie się będzie na nic, jak za dziewczuszkami będziesz latał. Ojciec też zaczął się ćwiczyć, sam dratwą matę sobie ze starego kilimu pozszywał, kładł

się i fikał nogami, zardzewiałe żelastwo dźwigał, aż się choróbska nabawił. Sanatorium, potem tylko nauka, nauka, cały ten ślub, ni z tego, ni z owego – nie widziała sowa słońca i zgorzała od miesiąca. A kilim mole zżarły! (w tym momencie słysząc wchodzącego i rozbierającego się Ojca, Babka zwraca się do niego) Co pisze?

Ojciec: Skąd mama wie?

Babka: Zawsze wiem. Widzę po tobie. I cóż tam nowego?

Ojciec: Jak zwykle... Nic szczególnego.

Babka: Pewnie, że już nic bardziej szczególnego. Ale co pisze?

Ojciec: Wesołych świąt... (po chwili) Jeszcze jej tysiąc dolarów brakuje. Nie może wyjechać.

Babka: Do domu?

Ojciec: Do Ameryki.

Babka (wyraźnie zdenerwowana): Do Ameryki! Zamiast się tutaj za chłopaka wziąć, bo ja też nie jestem z żelaza, w nocy nic nie spałam, serce się we mnie tam i nazad kołatało – to jej na koniec świata pilno! A nie pisze przypadkiem, gdzie się włóczy po nocach? Tam dopiero daje sobie ducha! Olek! Gdzie jesteś? W tej chwili do ojca! Zobaczył tylko ciebie i już się gdzieś czort spalił. Nigdy nic po sobie nie poskłada, wszystko robi przez pół...

Ojciec: Słyszała mama, Kamiński umarł.

Babka: Ojej! Wieczne odpoczywanie... Chwała Bogu, już się tylko męczył, a oni wszyscy z nim. Ona teraz nareszcie odżyje...

Ojciec: Tylko co jej nie widać, ma jakąś sprawę, nie chciała mówić na schodach.

Babka: Pewnie pieniędzy chce pożyczyć. Za byle co to tak teraz zdzierają, jakby Boga nie było na niebie. Kawalek ziemi, parę desek... (przerywa jej pukanie, słysząc otwieranie drzwi, potem szloch)

Kamińska I: Ja... Ja tam... tam nie mogę płakać, łzy jednej, łzy uronić, ani westchnąć, ani ubrać się jak należy, na czarno, bo teściowa ciągle patrzy, zaraz o wszystko pyta, aż już samej siebie zaczynam się lękać, że coś za dużo powiem, coś mi się może wyrwie... o nim... A jak, jak mam jej powiedzieć, kiedy to już

przecież dobrze po dziewięćdziesiątce i serce, jak mi lekarz powiedział, na włosku... W ogóle jej nie mówiłam, jaki stan... tylko, owszem, że chory, ale już troszeczkę lepiej, tu go wysłali do sanatorium, to tam znów dostał skierowanie, teraz... teraz... też, że wypoczywać... wypoczywać musi... A jak sama na noc zostałam w pokoju... to drzwi na klucz i wyję... wyję w poduszkę... (po chwili) Niech pani powie, no, niech pani powie, po jakiego czorta drugi raz na stół... Boże.. Boże... A teraz mam taką prośbę, pani Helenko najdroższa, niechże mi pani pomoże... Czy teściowa nie mogłaby pojutrze u państwa posiedzieć? Goście na pogrzeb się pojeżdżają, domyślać się zacznie... Co?

Babka: Dobrze, dobrze, pani Aniu, niech ją pani tutaj przyprowadzi.

Kamińska I: Tylko błagam, żeby przez nieuwagę... Oluś, taki młodziutki jesteś... Kiedyśmy obie takie były... Życie już het, całkiem za nami, jeszcze po tym, cośmy przeszły swego czasu we Lwowie...

## V

Olek (po kilkakrotnym wykręcaniu wielocyfrowego numeru, jakby recytując z kartki): Kalimera, ego telefono apo tin Polonija, parakale kirija Halina! (odczekuje moment) Kalimera, ego, ego telefono apo tin Polonija, parakalo... parakalo kirija Halina... Halina... Kalimera... (pauza) Nie rozumiem... Kirija Halina... Kali... Kalimera... (odkłada słuchawkę)

Pan Waldek (dając znać o swoim przybyciu delikatnym pukaniem we framugę): Ho, ho!

Olek: Ooo, skąd się pan tu wziął?

Pan Waldek: Pierwsze drzwi niezamknięte, drugie uchylone, myślałem, że stary jest u siebie... A tu ty, w pełnym zanurzeniu, nawet sonary wyłączone. Do matki wydzwaniasz? Majątek przekręcisz.

Olek: Nie ma nikogo.

Pan Waldek: Tu – czy tam? (po chwili, widząc, że Olek nie odpowiada) Gdzie to... Gdzie to myśmy się ostatni raz z twoją mamą widzieli? Spotkaliśmy się niespodziewanie, na jakiejś większej imprezie... Do licha! U kogo to było...

Olek: Nie ma nikogo, ja też muszę już iść.

Pan Waldek (ze śmiechem): Nie bój się, nie uciekaj. Mama była całkiem, całkiem w porządku. A jak potrafiła się ubrać! Mówię ci – zjawisko! Pamiętam, kiedyś...

Olek (gwałtownie przerywając, słysząc skrzyp wielkiej szafy, szelest wyciąganych sukienek): Tak? Tak się ubierała? I jeszcze jak? Na wrzosowo? Na różowo? Niebiesko?

Pan Waldek: Idealnie było jej w écru... Ale, ale, Olek! Olek, czyś ty zwariował? Znam was od lat...

Olek: A mnie od takiego, o, o, od takiego! Zgadza się?

Pan Waldek: To źle? Coś niewłaściwego? Jakiś czad, jak wy to mówicie?

Olek: Ależ oczywiście – nic, nic, nie zauważyłem, nie poczułem, strefa bezdymna! To właśnie jest podejrzane. Uważam, że to nie w porządku, kiedy wszystko w porządku, za bardzo w porządku. Jakby można pięćdziesiąt, osiemdziesiąt lat pisać wypracowanko bez jednego błędu. Najwyżej na marginesie czasem coś wyskrobać... A ja nie jestem w porządku, nigdy nie byłem, nawet godzinę nie potrafię być w porządku – nie chce mi się!

Pan Waldek: Voila! Wracając do twojej mamy...

Olek: Pan się na tym zna – kobiety mają intuicję?

Pan Waldek (śmiejąc się): Może... Mama...

Olek: No jak – mają, czy nie mają?

Pan Waldek: Można powiedzieć tak, można inaczej.

Olek: Jak inaczej?

Pan Waldek: Bywają tak bezmyślne, aż Opatrzność musi wreszcie sama wkraczać. Deus ex femina (śmieje się), zresztą i tak do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Olek: Do wszystkiego?

Pan Waldek: Do wszystkiego. Ot, nie tak dawno, kilka lat, jak sowieli stąd poszli, idziesz ulicą, gdzie zawsze, zawsze, od kiedy pamiętasz, stał sobie muzyk ze sztykiem – a tu pusto! Ni żywej duszy, wszystko otwarte, koszary, nie

koszary, aż wchodzić się nie chce. Niby taki żal jakiś, nostalgia... Diabli wiedzą co.

Olek: Jest na Korkyrze.

Pan Waldek: Nie rozumiem...

Olek: Matka jest na Korkyrze. Taka wyspa.

Pan Waldek: Wiem, wiem... Więc na Korkyrze, na Korfu... Zналиśmy obaj z twoim ojcem pewnego jegomościa, który był przed wojną w Grecji, siedział tam sobie latami jako ekspert Monopolu Tytoniowego i degustował. Otóż on uważał, że na tej wyspie jest najpiękniej na świecie – palmy, kwiaty, morze, Księżyc, wschody i zachody Słońca et cetera. Chodziły słuchy, że on tam przeżył tak zwaną wielką miłość i poprzysiągł sobie, że potem żadnej innej już nie będzie.

Olek: A potem? Ale numer...

Pan Waldek: Wielka wojna. Nazwisko niemieckie, odmówił podpisania volkslisty, siedział internowany z innymi Polakami. Później zawadził o Liban, a jeszcze później wrócił – i opowiadał takim chłopakom jak ojciec i ja o Korfu.

Olek: To wszystko, co pan wie o Korkyrze?

Pan Waldek: O nie, nie, jest jeszcze coś, o wiele ważniejszego i osobistego.

Olek: Pańska wielka miłość?

Pan Waldek: Moja wielka miłość? Ha, ha... Wprost przeciwnie. W domu były książki, mój stryj, leśnik, zażyczył sobie mieć w tej jakiejś swojej dziurze w Karpatach Wschodnich kilkanaście tomów Dziejów Powszechnych Ilustrowanych, wydanych w Wiedniu, po polsku. Pięknie były wydane, okładki wytłaczane, wyklejki, a w środku ryciny, tak to się nazywało. Jedna przedstawiała właśnie Korfu – Turcy po zdobyciu wyspy obdzierają żywcem ze skóry dowodzącego obroną Wenecjanina... To przerażenie tą książką, która z jakimiś gigantycznymi porożami karpackich jeleni przybyła aż tutaj, na Zachód, to było moje pierwsze wielkie uczucie. Po nim były inne – i zacząłem się zastanawiać, co było najpierw, burdel czy porządek.

Olek: Dobro zawsze zwycięża zło. Prawda? (śmieje się)

Pan Waldek: Tylko biedna Ziemulka pewnie nie przeżyłaby nadejścia anielskiego porządku. Wiesz, co to jest efekt Dopplera?



Olek: Nie, nie wiem. Ale zaraz, zaraz, chwytam... Chyba coś z niebem...

Pan Waldek: Jasne, z niebem. Widma gwiazd przesuwają się ku podczerwieni, co podobno dowodzi, że wszystkie te niebiańskie cielesności wyrwywają – skądś, dokądś – z prędkością światła. Dobrze, nie? Trzeba wiać, wiać póki czas!

Olek: Dokąd?

Pan Waldek: Dokąd? Ja wiem, może dookoła świata? A najlepiej w swój własny porządek. A tak! Zmajstruj sobie coś takiego, o, tu, tu – i jak już będziesz miał taki wewnętrzny, absolutnie osobisty komputer, to się pilnuj! Ot, byle muszka przeleci za blisko, zadziała jako kondensator i już zamiast zera będziesz miał jedynekę w programie, bit poza kontrolą... Pójdę, starego wciąż nie ma.

Olek: Powinien nadejść lada moment... Całe te galaktyki uciekają od samych siebie? Ale co to znaczy dla pana? Pan też ciągle ucieka, razem z tym wszystkim? Z własnym programem?

Pan Waldek: Co znaczy? Brać udział w procesie tak chwalebnie rozpoczętym przez Naturę kilkanaście miliardów lat temu? Czyż to nie upajające? Jak greckie wino? Ludzie obciążeni historiami, rodzinami, dziećmi zapominają się, nie znają już tego uczucia!

Olek: W drugą stronę nie można?

Pan Waldek: W drugą stronę? No nie! (śmieje się) Galaktyki, mgławice, czarna materia - wiesz jaki to piekielny wir?! Jakie prędkości? Nie, nie (śmieje się) – w drugą stronę! Cokolwiek pomyślałeś – już poleciało w tę jedną, jedyną stronę. Od ciebie. Idziemy sobie tu czy tam – a to znika, znika w jednym ogromnym pędzie!

Olek: A miłość?

Pan Waldek: Wszyscy, wszyscy, razem z Trójcą Świętą!

Olek: Ja nie chcę z wami. Zostaję! Nie mój pociąg, jasne?!

Pan Waldek: Tylko brak przyzwoitej poczekalni... Kalimera to znaczy – dzień dobry, a jak jest do widzenia? Przecież nie można całe życie mówić tylko dzień dobry, prawda? (słysząc, jak zmierza ku wyjściu) Może dałbyś mi ten numer do matki, co?

Olek: (z ociąganiem) Ja wiem... Zresztą, czemu nie...

Pan Waldek: Już, juuuż... (w tym momencie słyhać jak wchodzi Ojciec)

Ojciec: A, cześć, czekasz na mnie?

Pan Waldek: Doczekałem, więc znikam! (odgłos składanej kartki)

Ojciec (do Olka) Nie dałeś mu herbaty?

Pan Waldek: Dawał, dawał, ale żądałem koniaku, wobec czego nie mogliśmy się porozumieć. Jak to jest Olek w tym ich języku? Auf widersehen?

## VI

Kamińska II (wzdychając): Tak bym już chciała umrzeć, zejść z tego świata, tak się już modłę, aby Pan Jezus zabrał do siebie, ale jeszcze nie łaskaw. Taki szmat życia. Ile to ja się napatrzyła na tym Bożym świecie, a teraz oczy już popsute, ni węchu, ni smaku... Ot, tak łazi sobie człowiek pomalutku, z kąta w kąt, do niczego nie ma ochoty. Wstawać, ubierać się co rano – jaka to męka. A tam chciałabym spotkać swojego ojca, nie pamiętam go wcale, umarł jak roczek miałam i parę miesięcy. Ponoć piękny był z niego mężczyzna, słusznego wzrostu, czarny, w wojskowym mundurze chodził, oficerem był za austriackich czasów... Wciąż mam nadzieję, że to – da Bóg – niedługo, że jego pierwszego tam zobaczę. Przedwczoraj – albo jeszcze prędeej, nie pamiętam, mówiłam ci, Aniu – śniłam białe kwiaty, dużo białych kwiatów, jak wisznia, czereśnia, po drzewach tak, po chaszczy. Dawniej, bywało, jak śniłam takie białe kwiaty, wiadomość nadchodziła, że ktoś tam pomarł... A teraz nic, nie ma żadnej wieści, znać, że to na mnie już pora...

Kamińska I: A pani siostra, pani Helu, to będzie już ze trzy lata, jak zmarła? Wiem, że strasznie wtedy lało, cała zmokłam na pogrzebie, jak nigdy.

Babka: Trzy i pół.

Kamińska I: No, właśnie... Tak, tak, piękna była z niej kobieta! Pani także za młodu nic nie brakowało, ale ona – jak szła ulicą we Lwowie, to wszyscy się oglądali, nawet kobiety. A potem taka sama, sama – przez całe życie, bez własnej rodziny, bez męża...

Babka: Był taki jeden, doktor Matuszewski, strasznie za Musią szalał. Na zabawy specjalnie dla niej chodził, mimo że nie tańczył. Po wojnie nawet nie tak daleko stąd, w uzdrowisku mieszkał, pobudował się...

Kamińska I: Tak, tak, byłaby panią doktorową i niczego by jej nie brakło. Nie chciała go?

Babka: Jednego razu troczki mu się przy kalesonach rozwiązały. Postawił nogę na takim szczebelku od krzesła i zawiązał. Przy niej – a ją to tak zraziło, że już patrzeć na niego nie mogła. Iiii tam...

Kamińska I: No cóż, widzi pani, taki drobiazg, mój Boże! Niech odpoczywa w pokoju. Ja już też o krok byłam od śmierci. Na wiosnę, pamięta pani? Co to niby na kamienie mnie brali... A potem ten główny chirurg mówi do mnie – pani to się w młodości dopiero powodziło, mamusia pilnowała! Ho, ho! Skąd pan doktor to wie? – pytam, a on się śmieje, taki starszy, już szpakowaty, bardzo miły jegomość, mówi – my chirurdzy patrzymy przy zabiegu na tkanki, jak to tam wygląda, kiedy się przekroi, bo to tak samo jak drzewo, po ścięciu widać zaraz rok po roku. Tak się śmiał, ale miał rację. Także doświadczony ginekolog, ale rzeczywiście dobry spec, sam pani wszystko powie, ciąży, porody, poronienia, tak że już pani sama nic nie musi mówić. Tam wszystko jest w tych fałdkach pozapisywane... No, idę na górę, dogładnąć roboty. Ludzi przecie najęłam, zdaje się, już przyszli (głos jej się na moment załamuje), a mama niech tu sobie spokojnie siedzi, za jakie dwie, trzy godziny przyjdę. Aha – zapomniałam – gdyby mogła pani podać mamie troszeczkę letniej wody w garnuszku, w ustach jej bez przerwy zasycha... Dziękuję, dziękuję bardzo... Idę... (słysząc jak wraz z Babką oddala się ku wyjściu)

Kamińska II: Oluś, tak? To ty dziecko?

Olek: Ja. Wodę przyniosłem.

Kamińska II: Co oni tak tam chodzą i chodzą, krzesłami szurają... Słyszysz?

Olek: Eeee... nic takiego. Jakies tam sprawy, jak to przy remoncie.

Kamińska II: A nie skoczyłbyś Oluś tam zobaczyć, dziecinko?

Olek: Ale to naprawdę nic takiego. Normalne. Więcej ludzi, to szybciej im pójdzie.

Kamińska II: Jakby cały dom mieli wynieść, Moja Hania to ma czasem pomysły z Kulparkowa rodem. (po chwili) To taki zakład dla wariatów był tam, koło nas... Co oni...

Olek: Pani dobrze pamięta Lwów?

Kamińska II: Lwów, Lwów pytasz, czy pamiętam?! Dziecinko, ja tylko, tylko Lwów jeszcze pamiętam... Ja całkiem nie wiem, gdzie tu się teraz idzie, któredy, jakie sprawunki gdzie załatwić, całkiem już zapomniałam, całkiem – a tamto... całe miasto ciągle mam w oczach, ulice, trotuary, sklepy, pamiętam, pamiętam Franię od rzeźnika i takiego wesołego stolarza, Wąsowskiego, pamiętam – i jakby mnie kto tam raptem przeniósł, to bym się znalazła, na dawne swoje pomieszkanie trafiła...

Olek: A może – pamięta pani mojego dziadka?

Kamińska II (po chwili): Twojego dziadka, synuś, twojego dziadka... Niiie, nie pamiętam. Boże mój, jak to wszystko dawno, dawno temu... Co oni tam – teraz tak jakoś cicho?

Olek: Może już wyszli na...

Kamińska II: Wyszli? Dokąd wyszli, mówisz? Na dwór wyszli, na podwórko? Posłuchaj dziecko, uszy masz zdrowe – słyszysz co? Ale prawdę mi powiesz.

Olek: Niiie, nic.

Kamińska II: Słuchaj, słuchaj dobrze.

Olek: Nic. Nic nie słychać.

Kamińska II: Nic... A mnie się zdaje, że coś tak trzasnęło, jakby kto przeszedł, stara podłoga, to i zaskrzypi... Ooo, teraz znowu, nieprawdaż?

Olek: Może, może i ktoś się tam porusza... Tak jakby...

Kamińska II: Tak, tak, o, znowu, są tam, z całą pewnością, pracują, bo i dokąd by poszli? Tutaj robota... Jak nasz Józus, da Pan Bóg, do nas powróci, to zaraz mu powiem, że nie tak źle jeszcze ze mną, że nieraz lepiej od młodszego co posłyszę... (słysząc brzęk spadającej ze stolika szklanki z wodą)

## VII

(odgłos otwieranych drzwi)

Ojciec (zaskoczony): Miałeś przyjść po świętach...

Pan Waldek: Ale jestem dzisiaj. Widzę, że cię zastałem.

Ojciec: Po co przyszedłeś?

Pan Waldek: Po co – śmieszny jesteś...

Ojciec: Pytam, po co przyszedłeś.

Pan Waldek: Co tobie? Muszę po coś? Wpadłem jak zwykle...

(przez chwilę słychać, jak obaj milczą spacerując po pokoju)

Pan Waldek: Ten twój młody wciąż szuka dziadka? Jeden dziadek Kowalski mu nie wystarcza? (milczy czekając na odpowiedź) A ja ci mówię, on wcale nie szuka dziadka, choć tak mu się wydaje – szuka ojca. Typowe psychologiczne przeniesienie. (po pauzie, zaczynając się śmiać) Pamiętasz, był jakiś czas z nami w akademiku taki Tadzio – z chemii czy z fizyki – Solipiwko, Golipiwko, tak się jakoś wesoło nazywał. Pamiętasz, czy nie? Jemu kiedyś nasza dentystka wyrwała nie ten ząb, co było trzeba, tylko sąsiedni. Jak zobaczyła, co się stało, sama stanęła cała w pąsach i nuże, przeprasza i tak dalej – a on jej na to, że bardzo wdzięczny, bo mu nareszcie po trzech dniach ulżyło. I rzeczywiście – z tym chorym zębem miał potem dłuższy czas spokój.

Ojciec: Dobrze go rozumiesz.

Pan Waldek: Byłem taki sam. Zresztą – kto nie był? A ty co? Niby nie rozumiesz? Tylko nie zgrywaj ponuraka. (po pauzie) Jeśli ktoś coś czuje, przeczuwa, a czego nie wie na pewno, nie chwyta na poziomie racjonalnym... Przecież ty tylko bywasz w tym domu. Wpadasz, wypadasz.

Ojciec: Jakbyś ty bywał częściej. Klub, kawiarnia, jedna, druga, barkarola, karmaniola, czort zresztą wie co. Teraz też nie jesteś u siebie.

Pan Waldek: Ja nie mam syna...

Ojciec: Ani żony, co? Właściwie nie wiem, dlaczego w końcu się nie ożeniłeś? Nie było chętnych? O ile mnie pamięć nie myli...

Pan Waldek: Ty się ożeniłeś – i...

Ojciec: Mam syna!

Pan Waldek: I zrobiliśmy kółeczko, runda się zamyka. Słuchaj, może zagramy dla odprężenia w go?! Pamiętasz? Jasne, że pamiętasz! Go – to był wtedy przebój! Nie szachy, nie brydż – ale właśnie go! Poza go olewaliśmy wszystko. To co? Dawaj planszę i zaraz przeniesiemy się do strefy psychicznie umiarkowanej. Masz to gdzieś pod ręką?

Ojciec: Nie mam.

Pan Waldek: Tylko nie kłam! Ty nie masz planszy go? Nie wierzę.

Ojciec: Gdzieś była, może za jakąś szafą... Olek pewnie rozniósł ją w strzępy.

Pan Waldek: Olek? We dwóch z pewnością zdrowo ją szarpaliście!

Ojciec: Nie.

Pan Waldek: Jak to – nie? Nie powiesz mi chyba, że nie grałeś z nim w go?

Ojciec: Nie grałem?

Pan Waldek: Nigdy?

Ojciec: Nigdy.

Pan Waldek: Z Halą grywaliście jeszcze potem...

Ojciec: Od urodzenia Olka już nie.

Pan Waldek: Zresztą, nieważne teraz jak tam było, dawaj planszę. (po chwili oczekiwania) No, gdzie jest ta szafa? Może ja prędzej znajdę? Umiem szukać. No, wreszcie, widzę, że się zdecydowałeś... (odgłosy kroków Ojca, szperania, szeleszczenia) Go to gra dojrzałych strategów! Tylko go to jest to! Mieliśmy, stary, w swoim życiu wspinałą epokę, erę go! Dookoła było, jak było, a myśmy mieli dla siebie to. Przypomnij sobie, to była idea, wręcz mistyka. Nigdy nie graliśmy zresztą o forszę, jakoś czuliśmy, że to by nie było fair.

Ojciec: Poukładaj... (dłuższą chwilę słysząc monotonne stawianie pionków)

Pan Waldek: A ty co? Dobra, tobie też postawię... (znów pionki) No, gotowe. Ruszamy! Twój ruch.

Ojciec: Przegrałeś.

Pan Waldek: Coś ty? Dopiero mamy grać...

Ojciec: To gra strategiczna, prawda? Już przegrałeś.

Pan Waldek: No wiesz...

Ojciec: Dostałem z Grecji list.

Pan Waldek: Z Grecji? Od Haliny...?

Ojciec: Właśnie, od Haliny.

Pan Waldek: I co? Co pisze...?

Ojciec: Nic. Tylko, że przegrałeś!

Pan Waldek: A niech was jasna cholera! (słysząc, jak roztrąca pionki, gwałtownie wychodzi, trzaska drzwiami)

## VII

(odgłosy domowej krzątaniny)

Olek: Choinkę już mamy, jak się patrzy, jak ty to mówisz. Podziwiać! Sosenka!

Babka: Raz kiedyś była u nas sosenska, twój ojciec uparł się, żeby nie rozbierać i tak sobie stała, aż do Popielca! Potem było wstyd, jak kto przychodził.

Olek: I mam siano na stół! O! Widzisz?

Babka: Już ze cztery, pięć lat siano u nas nie było na stole i jakoś się świętowało. Proch tylko potem od tego.

Olek: A teraz będzie! Białe świece do lichterzy kupiłem. I różowe na choinkę. Innych kolorów nie było. Same lampki elektryczne.

Babka: Tylko patrz, żebyś ogniem czegoś nie zmajstrował. Kiedyś już się firanka zajęła...

Olek: Masz zrobione pierogi? Uszka?

Babka: Ty mi się tutaj do kuchni nie mieszaj!

Olek: Kutia też będzie?

Babka: Ojciec by bez kutii w święta z głodu umarł. (słysząc wchodzącego Ojca, szuranie kartonu) Ostrożnie! Uważaj! Jak to wszystko tam na strychu kurzem zarasta! Czekaj, mówię. Niech ścierkę wezmę... (słysząc ścieranie kurzu, otwieranie pudła) O, ta kulka, niebieska taka, z narciarzem – pamiętasz, jak wrzasku ciotce Musi na ulicy narobiłeś? Wrzeszczałeś, póki ci nie kupiła.

Ojciec: Uhm, koło dworca. Tam obok takie długie cukierki, raczki, były w sklepie...

Olek: Te mi się zawsze podobały. Są trzy, z takimi głębokimi reflektorami.

Babka (wzdychając pogardliwie): Przyszły do domu razem z twoją matką. Jak miałeś dwa czy trzy latka całe drzewko na siebie ściągnąłeś i prawie wszystkie się pobiły.

Olek: Ooo! Jest szopka! Troszkę tył się wygiął, ale da się skleić. Hurrra!

Ojciec: Byliśmy u kogoś i tam była taka szopka, stajenka, z prawdziwą strzechą, ściankami plecionymi z chrustu...

Babka: Pewnie u Ostrowskich, oboje już nie żyją, on był nauczycielem robót czy rysunków... Że ty takie rzeczy pamiętasz? Mnie się całkiem nie trzyma głowy, jak tam było u kogoś. Śpieszcie się z tym wszystkim, ryby idę rychtować...

Ojciec: Przedtem słyszeć nie chciałeś, a teraz bardziej papieski od papieża.

Olek: Nie mogę? (po chwili) Mam ten adres!

Ojciec: Jaki adres?



Olek: Wiem wszystko!

Ojciec: Nie drzyj się tak!

Olek: Mieszka we Wrocławiu. Nie?

Ojciec: Może. I co z tego?

Olek: Ma telefon...

Ojciec: Nie dzwoniłeś?!

Olek: Napisałem.

Ojciec: Co? Co napisałeś?

Olek: Żeby przyjechał.

Ojciec: Jak mogłeś?! Ona tego nie przeżyje! Zburzysz cały jej świat! Na same święta, kiedy i tak ledwo żyje!

Olek: Muszę! Nie rozumiesz? Muszę! Ktoś wreszcie musi! Muszę się otrząsnąć, już sam zacząłem po waszemu kręcić. (po pauzie) Nie cieszysz się, że ci tatusia znalazłem? Pod choinkę?

Ojciec (odgłos nerwowo przewracanych kartek notesu, potem wykręcania numeru): Zaraz, zaraz, spokojnie, może coś da się zrobić... Nie... Nikt się nie zgłasza...

Olek (mocno wzburzony): Dlaczego znowu tak, dlaczego ja nic... nic nie wiem... Cooo...?

Ojciec: Zaraz! Moment, jeszcze raz...

Olek (z wściekłością, po chwili słysząc, jak się szamoczą): Pomyśl, w ogóle pomyśl! O mnie!!! Pomyśl o mnie...!!!

Ojciec: A wiesz... wiesz, kogo tutaj zaraz poznasz?! Wiesz?! Poznasz Oluś tylko mojego ojca! Zrozumiałeś?!!! To jest ta twoja wielka prawda?! Tego ci było trzeba? Co? (słysząc jęk, szloch Olka, potem dzwonienie ozdób na choince, którą Olek stuka o podłogę, dźwięk tłukącej się bombki, rwanie łańcucha, kroki wchodzącej pośpiesznie Babki)

Babka: Coście się tutaj, przy choince, pokłócili?! Każdy pewnie chciał ją po swojemu ubierać? Bachory! Jaki jachało, taki zdybało! Tak jak przedtem było lepiej, teraz dziura wylazła w tym miejscu... (szmer przesuwanego łańcucha) Nie grzebać mi już tu więcej! Ślamazary, pasterka ich za stołem zaskoczy! (odgłos przesuwanych talerzy, sztućców, stawianie przynoszonych z kuchni potraw, po chwili dzwonek u drzwi)

Babka: Aaa... Dawno... Dawno nie widziany... Pan, pan Kowalski...

Dziadek Kowalski (podpity): Paan... Jaki paaan... swatowo... (podchodzi do stołu i stawia butelkę) Wszystkiego, nooo... tego... Już po... paciorku...? Łask, łask dla caaałej rodziny...

Babka: Siadajcie... Siadajcież no...!

Dziadek Kowalski: Oooo! I pan magister... profesor... kustosz... Wszystkiego tego... naj... Ho, ho.. wszystkiego...! (w tym momencie słychać telefon, gwałtowne kroki Olka w stronę aparatu)

Olek: Ja...! Ja odbieram! Tak, tak... 81-78-22 (chwilkę słucha) Nie, przykro mi... Już nie... nie jestem pańskim wnukiem... Przy...

Dziadek Kowalski: Ho, ho, ho... Nie jest wnukiem...! Ho, ho! Zarzekała się dupa słońca... Nie jest wnukiem! Ha, ha... (słysząc, jak napełnia kieliszki)

Olek: Dzwonił stąd, ze stacji...

Ojciec (wstając, odsuwając krzesło): To już pewnie wsiada do pociągu, w drugą stronę... One tu się mijają...

Olek (gwałtownie odpychając krzesło, potrącając choinkę, biegnąc ku wyjściu): Kurwa! Znowu mi odjeżdża!!!

K O N I E C